„Naprawiacze”, czyli *Szewcy* po chińsku

O translatorskich kłopotach, teoriach przekładu, chińskich przekleństwach i intelektualnych bredniach

rozmawiają Wei-Yun Lin-Górecka, tajwańska tłumaczka, poetka i pisarka oraz Aneta Jabłońska.

Aneta Jabłońska: Tłumaczyła pani na chiński książki m.in. Janusza Korczaka, Brunona Schulza, Andrzeja Sapkowskiego oraz tomiki Wisławy Szymborskiej i Tadeusza Różewicza. Teraz zdecydowała się pani na przekład *Szewców* Witkacego. Trzeba przyznać, że to nie lada wyzwanie.

Wei-Yun Lin-Górecka: Interesuje mnie literatura polska, dlatego też zajmuję się jej przekładem. Szczególnie cenię Schulza. Witkacego chociaż znałam, nawet lubiłam i czytałam jego sztuki, nie zamierzałam tłumaczyć. To było zlecenie otrzymane od tajwańskiego teatru (Theatre Naturally Connected), który zamierza wystawić i opublikować *Szewców* w 2017 r. Nie wiedziałam, że będzie to tak trudne i wymagające zadanie. Gdybym wiedziała, nie przyjęłabym tej propozycji.

A. J.: Witkacy znany jest ze swoich neologizmów, pokrętnych metafor, dziwacznych imion. Czasem nawet świadomie posługuje się niepoprawnymi językowo sformułowaniami. Czy jakiś stylistyczny nawyk, maniera, może powiedzenie Witkiewicza wyjątkowo uprzykrzyło pani pracę?

W.-Y. L.-G.: Tak. Na przykład: „Sturba ich suka”, „To ci sturba, psia ją cholera w suczą by ją wlań” i inne przekleństwa. W ogóle mam kłopot z wulgaryzmami. Miałam podobny problem, kiedy tłumaczyłam Sapkowskiego.

Wei-Yun Lin-Górecka

A. J.: Chce pani powiedzieć, że nie sposób przeklinać w języku chińskim? Trudno w to uwierzyć… (śmiech)

W.-Y. L.-G.: Nie, nie o to chodzi. Przekleństwa po chińsku i polsku są zupełnie inne. Kiedy przeklinamy po chińsku, przede wszystkim chcemy znieważyć konkretnego człowieka – jego matkę, ojca, przodków, dzieci, a nawet jego ciało. Raczej nie wyrażamy złości samej w sobie. Nigdy też nie obrażamy Boga. Chyba, że spotka nas wielkie nieszczęście. Wtedy mówimy, że Niebo nie ma oka albo że Niebo i Ziemia nie są miłosierne. Wydaje mi się, że kiedy bluźnimy po polsku, to niekoniecznie nasze utyskiwania kierujemy konkretnie do kogoś – przede wszystkim okazujemy zdenerwowanie. Możemy też złorzeczyć Bogu. W związku z tym trudno mi szukać odpowiednich określeń dla zwykłych przekleństw, nie wspominając już o tych niezwykłych, wymyślnych, pokrętnych, jak u Witkacego. Mam wrażenie, że język tajwański lepiej sobie radzi z wulgaryzmami, pozwala na większą kreatywność. Nawet brzmieniem jest bliższy polskiemu. Żałuję, że nie znam tego języka.

A. J.: Jest pani Tajwanką, jak to się więc stało, że nie miała pani możliwości nauczyć się rodzimego języka?

W.-Y. L.-G.: W Tajwanie chiński jest językiem urzędowym, a tajwański to język społeczeństwa, używany przez wiele osób. Ja niestety się nim nie posługuję,

bo moi rodzice są imigrantami z Chin. Przyjechali z wojskiem w 1949, a kiedy dorastałam, nie miałam okazji poznać ludzi i kultury tajwańskiej. Ponadto tajwański był potępiany przez władzę Czang Kajszeka. Wracając do Witkacego – ciężko jest wymyślić coś nowego, tworzyć neologizmy w języku chińskim. Często myślę, że gdybym znała tajwański, byłoby mi łatwiej. W przyszłości ktoś inny powinien przełożyć i wydać Witkacego właśnie po tajwańsku i wtedy byłoby to arcydzieło.

A. J.: Czy to znaczy, że nie będzie pani kontynuowała pracy jako tłumacz dzieł Witkacego?

W.-Y. L.-G.: Nie. Taki eksperyment wystarczy raz w życiu.

A. J.: Miejmy zatem nadzieję, że ktoś jeszcze przełoży Witkiewicza na tajwański i nie tylko… Mówiłyśmy o pani translatorskich kłopotach z Witkacym. Może więc teraz porozmawiajmy o tym, co w pisaniu Witkiewicza podoba się pani najbardziej.

W.-Y. L.-G.: Precyzyjna analiza sytuacji społeczeństwa. Sarkazm i umiejętność wyśmiewania się ze wszystkich i ze wszystkiego. Chociaż ten sarkazm mi też przeszkadza, a nawet mnie denerwuje.

A. J.: Nie lubi pani Witkacowskich kąśliwości…

W.-Y. L.-G.: Po prostu często mam wrażenie, że to intelektualne bredzenie, którego celem jest pokazanie wyższości autora. Zwykła arogancja.

A. J.: Tajwańscy pisarze nie szydzą tak jak Witkacy?

W.-Y. L.-G.: Owszem, Witkacy kojarzy mi się z Tajwańczykiem – Chi Wei-Jan. Jego dzieła również są pełne dowcipu, czarnego humoru, sarkazmu i krytycyzmu wobec współczesnego społeczeństwa. To wybitna postać – jest profesorem teatrologii, dramaturgiem, felietonistą i autorem kryminałów. Nawet intelektualne bredzenie Chi Wei-Jan jest podobne do wynurzeń Witkacego. Wolę jednak Tajwańczyka. Być może dlatego, że jest mi bliższy, mamy wspólną kulturę, lepiej go rozumiem i łatwiej mu wybaczam.

Ten sarkazm mi też przeszkadza, a nawet mnie denerwuje

A. J.: Tłumacze często nieco przekształcają dzieło, chcąc je przybliżyć zagranicznemu czytelnikowi. Między innymi starają się mocniej osadzić je w kulturze, dla której przeznaczony jest przekład. Czy pani również przyjęła taką strategię podczas pracy nad *Szewcami*?

W.-Y. L.-G.: *Szewcy* tłumaczeni są przede wszystkim po to, by mogli zostać wystawieni na deskach tajwańskiego teatru. Konieczne jest więc wprowadzanie tekstu w realia widzów. Dosłowne, a nawet zbliżone, tłumaczenie *Szewców* jest praktycznie niemożliwe. Sztuka po prostu zbyt mocno tkwi w miejscu i czasie, w którym powstała. Nie odda się sensu i duszy tego utworu, jeśli przetłumaczy się go jak zwykłą literaturę, przeznaczoną tylko do lektury. Dramat przecież nie jest tylko literaturą. Jest stworzony z myślą o tym, żeby mógł zaistnieć na scenie. Dlatego najlepszym sposobem jego tłumaczenia jest odchodzenie od oryginału, unowocześnianie. Dążenie do tego, żeby język i metafory były bardziej lokalne.

A. J.: Czyli dostosowuje pani przekładany tekst do czytelnika?

W.-Y. L.-G.: Każde dzieło tłumaczę trochę inaczej. W zależności od celu i czytelników. Jeśli przekładam literaturę piękną (np. Schulza, Szymborską, Różewicza), staram się zbliżać do oryginału. Oczywiście, takie zbliżenie nigdy nie oznacza dosłownej translacji. Czasem jest nawet tak, że, aby pozostać jak najwierniejszym autorskiej wersji dzieła, trzeba odejść od dosłowności. Inną metodę z kolei stosuję, kiedy tłumaczę literaturę faktu. Ostatnio przełożyłam *Jak kochać dziecko* Korczaka. Moim celem było zainteresowanie nim tajwańskich rodziców. Pokazanie im, jak autor *Króla Maciusia I* traktował dzieci. Dlatego podeszłam do tej książki jak do podręcznika, a nie jak do literatury pięknej. Nie wszyscy rodzice są przecież koneserami literatury, nie wszyscy odczuwają potrzebę czytania. W tym przypadku przesłanie było dla mnie ważniejsze niż styl.

A. J.: A jaką metodę przyjęła pani podczas tłumaczenia dzieła Witkacego?

W.-Y. L.-G.: Wspólnie ze zleceniodawcą podjęłam decyzję, aby *Szewcy* po chińsku z jednej strony byli lokalni, z drugiej – tę lokalność przekraczali. Chodziło o to, żeby tekst był tajwański i polski zarazem. Być może to wydaje się dziwne, ale myślę, że to najlepsza strategia. Sami *Szewcy* są przecież takim konglomeratem. Znajdzie się tam i dowcip, i powagę. Jest to zarówno sztuka, jak i esej. Witkiewicz umieścił w tym dramacie trochę Rosji, trochę Polski, trochę świata... Mnie się wydaje, że i Polska, i Tajwan też są taką specyficzną mieszanką: trochę z tego, trochę z tego.

A. J.: Zastanawiam się, co by było gdyby *Szewcy* mogli rozgrywać się w tajwańskich realiach. Kim wtedy byliby ich bohaterowie?

W.-Y. L.-G.: Cóż, szewcy może nie byliby szewcami, a mechanikami samochodów i motocykli (po tajwańsku „czarne ręce", po chińsku „naprawiacze"), towarzysz X nie byłby towarzyszem X, ale jakimś lokalnym politykiem... Tylko, że wtedy to nie byłoby już tłumaczenie.
W!